

Z zapisek pozostawionych nam przez naszą Mamę,
(Elżbietę) Stefanię Meder Nowobilską
(1900-1974)

Moi Rodzice

Pierwsze opowiadanie poświęcę moim rodzicom. Ojciec mój Jan Meder, moja Mama Julia z Bruhlów. Nazwiska wskazują na pochodzenie niemieckie. Niemcy osiedlali się dobrowolnie w Polsce od dawna. Najwięcej ich przybyło po najazdach tatarskich, by uzupełnić osiedla miejskie. Rodziny Bruhl, Meder, Hass osiedlili się w Polsce dużo później. Nazwisko Bruhl wskazuje na czasy Augustów Saskich. Wszechwładny wówczas minister Bruhl mógł sprowadzić biedniejszych krewnych z Turynii i Saksonii, zakupić wieś osiedle Freifeld koło Cieszanowa i osadzić ich na prawie magdeburskim. Za czasów austriackich, pod koniec 19-go wieku, Freifeld miał ludność mieszaną. Oprócz potomków kolonistów, była spora grupa polska i znaczna grupa ruska, później mieniająca się ukraińską. Gdy zakładano szkołę podstawową, połączone głosy polskie i kolonistów zdecydowały o języku wykładowym polskim. Także kościół rzymsko katolicki, wspólny dla Polaków i kolonistów, z obsadą księdza polskiego przyczynił się znacznie do zkrystalizowania poczucia dalszych pokoleń dawnych kolonistów. W domu, kwestja pochodzenia rodziców nie była nigdy poruszana. Całe moje rodzeństwo było wychowane w duchu polskim, ale podświadomości pochodzenia nie zatraciło. Rodzice język niemiecki znali, ale rzadko go używali w domu w rozmowach ze sobą, zwłaszcza gdy się o coś spierali w naszej obecności.

Świadomość pochodzenia najbardziej odczuwał najstarszy brat Franek, ale będąc zarazem bardziej z pośród nas zawansowanym w naukach, umiał te sprawy sobie i młodszemu rodzeństwu wytłumaczyć. Był zdania, że nasi przodkowie napewno mieli w sobie krew słowiańską, będąc w dawnych wiekach poddani germanizacji. Historycznie miał rację, gdyż tereny, które obecnie obejmują Niemcy Wschodnie były przed przeszło 1000 laty zamieszkałe przez różne plemiona słowiańskie, a niemiecki "Drag nach Osten" podbił je i zgermanizował. Jeszcze obecnie na zachód od obecnej granicy polskiej na obszarze Saksonii znajdują się wyspy :użyczan, którzy szczątki języka zachowali. Gdy hitlerowska inwazja zalała ziemie polskie, gdy władze niemieckie wyszukiwały i przymuszały rodziny pochodzenia niemieckiego do przyjęcia karty Reichsdeutsch lub Volksdeutsch, bardzo mały procent kolonistów w Małopolsce wschodniej zgodził się na ich przyjęcie. Bywało, że odmowy były surowo karane, zazwyczaj zsyłką do obozów koncentracyjnych, a nawet były wypadki doraźnego rozstrzelania.

Jeszcze przed pierwszą wojną światową rodzina mojej mamy i kilka innych wyemigrowało na tereny austriackie pod Wiedeń. Moi bracia odwiedzali ich i nawet spędzali tam wakacje. Ja odwiedziłam ich dopiero z Londynu w r. 1960. Miłym zaskoczeniem dla mnie było nie tylko że starsi języka polskiego nie zapomnieli i biegle nim władali, ale w polu przy pracy słyszałam pozdrowienia, jakie tylko na wsi polskiej się słyszy> "Boże pomagaj" lub "Szczęść Boże." Nic dziwnego też, że okoliczni mieszkańcy uważają wieś Pischelsdorf zamieszkałą przez "polnische Familien" jak mi to skrętnie wyjaśniali. Za czasów polskich, Freifeld, zmienił nazwę na Wolne Pole zgodnie z uchwałą mieszkańców< obecnie po drugiej wojnie światowej dostał nazwę Kowałówka.

Ojciec, jako młody chłopak, wyjechał do krewnego do Lwowa, gdzie został oddany do szkoły ślusarskiej. Po paru latach, po odbyciu praktyki, uzyskał fach a potem pracę w warsztatach kolejowych w Stryju. Wtedy Ojciec postanowił ożenić się i założyć rodzinę. Wybór jego padł na moją mamę. Rodzina Bruhlów cieszyła się we wsi dużym poważaniem. Związek doszedł do skutku, mimo że młodzi prawie się nie znali, i mimo że Mama była jakby po słowie z innym chłopakiem. Ich wzajemne uczucie było ogólnie znane we wsi. Pertraktacje przedślubne (z tym chłopakiem) zostały zerwane na skutek nieporozumienia o kawałek pola, jaki miał przypaść Mamie jako wiano. Po latach, gdy z Mamą odwiedziłam wieś rodzinną rodziców, dowiedziałam się o tym zdarzeniu z ust żony niedosłej miłości mamy. Opowiedziała to jako rzecz powszechnie znaną a w owych czasach pospolitą, że rodzice decydowali o zamążpójściu swej córki. To też Ojciec łatwo uzyskał zgodę rodziców mamy, gdyż nie targował się o wiano, które w formie gotówki otrzymał.

W czasie wizyty oglądnęliśmy miejsce, gdzie stał dom rodziców mamy i gdzie Mama się urodziła i swą młodość spędziła. Zabudowania spaliły się doszczętnie a na ich miejscu stanął dom całkowicie obcy mamie, postawiony przez ówczesnych właścicieli Ukraińców. Tylko w przyległym ogrodzie zaświeciła się mamie twarz i nawet łzy pociekły. Przytuliła się do pnia ogromnej gruszy jako osoby ukochanej, będącej świadkiem jej młodzieńczych radości i smutków. Opowiadała mi, że często wspinała się na drzewa, by zerwać trochę owoców dla siebie oraz, by obdarować dzieci sąsiadów. Raz nawet przyłapał ją Ojciec na gruszy, gdyż w pośpiechu schodząc zaczepiła spódnicą o gałąź. Najadła się niemało wstydu, który więcej odczuła i dłużej pomiętała niż baty, których jej Ojciec tak na drzewie jak i po zejściu nie żałował. Obecnie

dziewczęta na wsi napewno spodnie ubiorą, chcąc się wspiąć na drzewo, ale w owym czasie taka możliwość była nie do pomyślenia. Pomimo tak trudnych początków, małżeństwo byłoby zupełnie szczęśliwe, gdyby Ojciec nie zajął się polityką w wolnym od pracy czasie.

Pod koniec 19-go wieku, Austria na podstawie konstytucji daje swym krajom możliwość wybrania swych przedstawicieli do sejmów krajowych i ogólnopństwowych. Powstały partie narodowców, ludowców, socjalistów i inne. Ojciec przystąpił do partii P.P.S. i wkrótce stał się ważnym ogniwem w miejscowej organizacji. Jeździł, agitował, organizował. Warunki dla pracy w owych czasach nie były łatwe. Zebrania pod gołym niebem, dojazdy różnymi środkami, a wszystko w zmiennych warunkach, bez względu na porę roku. To też po kilku latach takiej pracy, Ojciec zapadł na zdrowiu i nabawił się choroby płucnej. Mimo wyjazdów do adriatyckiego uzdrowiska w Abacji, nie udało się go uleczyć. Zmarł w 1908 roku, pozostawiając młodą wdowę w wieku 40 lat z 6-giem dziećmi, z których najstarszy Franek, lat 17, w 6-tej kl. gimn., a ja najmłodsza, lat 8, oraz dom jeszcze zadłużony. Pogrzeb był bardzo tłumny> dwóch księży, dwie orkiestry, kolejarze z warsztatów prawie w komplecie (kilka tysięcy). Z P.P.S. główni przywódcy> Daszyński, Moraczewski, Diamand. Dzień też także pamiętny z powodu obfitych opadów śnieżnych jakie nawiedziły w tym roku Stryj. Był to dopiero październik i pług śnieżny musiał oczyszczać ulice by pochód mógł się poruszać. Ostatnie lata choroby ojca wyczerpały fizycznie mamę. Trzeba było nie tylko opiekować się chorym, ale także pilnować by naczynia w których podawano strawę choremu były dezynfekowane. Kontakt dzieci, zwłaszcza młodszych, musiał być stosunkowo ograniczony przy zachowaniu warunków sanitarnych.

W kilka dni po pogrzebie zdawało się, że Mama również się położy na dobre. Ale wysiłkiem swej woli przemogła słabość, spakowała walizkę i wyjechała na wieś w góry ze słowami do nas> "Radzcie sobie jak możecie, a ja muszę ratować swoje zdrowie dla was." I tak po przyjeździe do siebie nie miała łatwego życia, chcąc nas sześcioro ubrać, wyżywić i do szkoły posyłać. A to wszystko z pensji emerytalnej. Chociaż nieraz wielu zasadniczych rzeczy nam brakowało, byliśmy nauczeni by głowę wysoko nosić, nikogo o nic nie prosić, a o swoich brakach nigdy nie opowiadać. W późniejszym czasie gdy brat Broniek dostał stałą pracę, także na kolei, już było łatwiej. Gdy jeszcze ja zaczęłam pracować, warunki nastąpiły zupełnie znośne. Lecz los nadal nie szczędził mamie nowych ciosów. W czasie 1-szej wojny straciła dwóch synów a ciągu 20-lecia starszą córkę Józję i najmłodszego syna Gienka. Sama zakończyła swe pracowite życie nagle w 1-szym roku drugiej wojny światowej, mając przy sobie dwoje swych dzieci> mego brata Bronka i mnie oraz wnuków Leszka, Marka, Krysię, Zdzicha, Danusię oraz Dziuškę.

W ostatnich miesiącach życia umysł jej zdzieciniał, gdyż nie zdawała sobie sprawy z bezużyteczności pieniądza i braków materialnych, jakie wojna przyniosła. Może szczęśliwie też los poskąpił jej świadomości groźby, jaka ówczesne władze przedstawiały w szczególności dla mnie i moich synów jako żony i dzieci oficera. Byłaby się napewno na śmierć zamartwiła, a także może nieopatrznie zdradziła się ze swymi uczuciami, gdyż udawać nie umiała.

Mój Brat Franek

Było nas sześcioro. Czterech chłopaków, dwie dziewczyny. Ojciec pragnął by jego dzieci poszły wyżej po drabinie społecznej. Dlatego wysyłał do szkół, a nawet dwóm starszym synom postarał się o lekcje muzyki. Najstarszy Franek poszedł po myśli woli ojca. Po skończeniu gimnazjum w Stryju zapisał się na wydział prawa na uniwersytecie lwowskim. Było to już po śmierci ojca, więc pomoc matki wdowy nie mogła być duża. Nie mogła mu zapewnić "stancji" we Lwowie. Toteż tracił 4 godziny dziennie (w obydwie strony) dojeżdżając na wykłady. Na książki i skrypty musiał dorabiać lekcjami. Nic dziwnego, że mu studia nie szły gładko. Oprócz tych trudności były inne okoliczności, które nie sprzyjały jego nauce. Sporo czasu pochłaniała muzyka. Ćwiczenia własne, poznawanie różnych instrumentów, praca organizacyjna w orkiestrze studenckiej. Był pomocnikiem, a później kierownikiem i dyrygentem. Inni bracia interesowali się muzyką, ale w mniejszym stopniu, każdy próbował swych sił na jakimś instrumencie. Próba włączenia mnie do grona czynnych miłośników muzyki skończyła się niefortunnie, gdy brat Franek zbyt forsownie pouczał mnie używając do tego celu smyczka. Zbuntowałam się i moje lekcje skrzypiec skończyły się. Notomiast pomagałam nadal w przepisywaniu nut, których brat potrzebował wiele dla swej orkiestry. Trzeba dodać, że Franek był inicjatorem pieśni granej przez zespół czterech instrumentów> flet, klarnet, trąbka, i trombon w czasie nabożeństw majowych.

Tak jak Ojciec, brat Franek włączył się w szeregi P.P.S. Wiem, że wraz z kolegą Rudką był wysłany do Kongresówki (zabór rosyjski), prawdopodobnie z bibułą, t.j. pismami drukowanymi na terenie Galicji. Wcześniej też wstąpił w szeregi Związku Strzeleckiego. Po odbyciu w wojsku austriackim służby jednorocznej 1912-1913, Franek uzyskał stopień oficera rezerwy. Związkowi Strzeleckiemu służył jako instruktor i był jednym z jego przywódców. Jako oficer rezerwy pułku stacjonowanego w Stryju, miał

możność wypożyczać broń do ćwiczeń i strzelania. Czynił to chętnie dla oddziałów wszystkich stowarzyszeń polskich bez względu na zabarwienie polityczne a więc> Związek Strzelecki, Drużyny Strzeleckie, Drużyny Bartoszone, Drużyny Sokoła. Marzeniem Franka, jak i wszystkim młodzieży polskiej, zorganizowanej w różnych stowarzyszeniach para-militarnych, była chęć służenia w oddziałach pod komendą polską. Wszyscy wierzyli, że zbliżająca się wojna przyniesie naprawę zła historycznego jakim były rozbiory Polski. Los nie był łaskawy dla Franka, gdyż wybuch wojny austriacko-rosyjskiej zastał go w szeregach austriackich na skutek mobilizacji alarmowej. Doszło nas do słuchu że brat miał zamiar przy najbliższej okazji dołączyć do oddziałów Legionów Polskich a nawet pociągnąć ze sobą oddział Polaków z pułku. Niestety nie mógł i tych planów wprowadzić w życie, gdyż w pierwszej bitwie krwawej a fatalnej dla wojska austriackiego, padł pod Kraśnikiem, a z nim wiele tysięcy młodzieży skoszonych przez karabiny maszynowe rosyjskie. Plac boju pozostał w ręku Rosjan, którzy wzięli znaczne ilości jeńców, a poległym sprawili wspólne groby. Długi czas nie mieliśmy pewnej wiadomości, co się stało z Frankiem. :udziliśmy się, że dostał się do niewoli rosyjskiej i że kiedyś wróci. Tak ubył pierwszy z naszej czwórki i najstarszy. Z nim zgasła wielka nadzieja, jaką wzbudzał swymi zdolnościami i wzięciem u ludzi.

Mimo że nie dołożył się do poprawy naszego bytu materialnego zawdzięczam mu wiele. Poza mamą, on wywarł największy wpływ na moje wychowanie i uformowanie mego charakteru. Pobudził do samodzielności polegania tylko na sobie samej i radzenia sobie w różnych okolicznościach życia. Traktował mnie na równi z chłopakami, chwając czy ganiąc zależnie jak swym postępkami zasłużyłam. Pozostał mi w pamięci wysoki i dobrze zbudowany o chmurnym spojrzeniu z pod krzaczastych brwi. Gdy w Bielsku do pułku przybył nowy zastępca dowódcy pułku ppłk. Sosabowski, przy pierwszym spotkaniu z nim uderzyło mnie duże podobieństwo do brata Franka i wręcz mu to powiedziałam. W 30 lat później spotkałam go na terenie Londynu już jako generała i sławnego dowódcy Brygady Spadochronowej. Zaraz po przywitaniu zadziwił mnie pytaniem> "Czy nadal pani brata przypominam@"

Mój Brat Broniek

Brat Broniek był typowo trudnym do prowadzenia chłopcem. Po szkole powszechnej musiał doznać jakiegoś zawodu, który wywarł u niego antypatię do wszelkiego rodzaju nauki szkolnej. Zaczęło się od opuszczania końcowych godzin, a później nie chciał w ogóle iść do szkoły. Zawsze był surowo ukarany przez ojca i doprowadzony do szkoły. Nic nie pomagało. Na jednej z takich wypadów pozaszkolnych, Broniek przemókł do nitki, przeziębził się. Jako że to zaniedbał, zapadł na chorobę płuc, na którą już całe życie cierpiał. On był przecież najlepiej rozwinięty fizycznie, słusznego wzrostu, może najwyższy z braci. Do szkoły już nie poszedł lecz wyuczył się zawodu mechanika na kursie technicznym. Także i tu sprawiał dużo kłopotów swym nauczycielom. Wszystko się zmieniło jak różczką dotknięty po śmierci ojca. Gdy zobaczył mamę płaczącą, pocieszał ją. Mama mu powiedziała że nad nim płacze, gdyż boi się co z nim będzie. Jako że teraz nie ma ojca, ona nie widzi możliwości jego wychowania. Od tego czasu Broniek się zmienił i był największą podporą mamy i całej rodziny.

W 1914 roku Broniek został powołany do austriackiej armii i przeszedł szczęśliwie przez całą wojnę. Po powrocie bardzo troszczył się matką i rodzeństwem. Dopiero jak ja wyszłam zamąż Broniek Ożenił się z owiele młodszą Heleną Waszewską z poblizkiego miasteczka Rozdoł. Hela była bardzo dobrą żoną i była bardzo dobra dla mamy i całej rodziny. Mieli czworo dzieci Albina, Krystynę, Danusię i Zdzicha. Wszystkie bardzo fajne tylko niestety Albinek zmarł bardzo młodo a Danusia miała chorą nóżkę i zmarła mając 8 lat podczas wojny.

Gdy wojna wybuchła w 1939 zostałam ze synami ewakuowana z Bielska na wschód do Brzeżan za Lwowem, gdzie nas Sowieci zastali. Broniek przyjeżdża po nas i używając swoich kolejarskich kontaktów przywozi nas w wagonie "świniarka" do Stryja. Mój mąż Albin jest już wtedy za granicą na Węgrzech. Broniek i jego żona Helena przyjmują nas do siebie do mieszkania, gdzie już mieszkała z nimi nasza starzejąca się matka. To było wielkie poświęcenie z Bronka i Heli strony mając troje dzieci i matkę na utrzymaniu w dwóch pokojach z kuchnią nas jeszcze przyjęli. Broniek moim chłopcom zastępował ojca. Nauczył ich masterkowania i pracy koło domu. Swoim przykładem wskazał im jak współżyć z ludźmi. To był nadzwyczaj dobry człowiek. Mieszkałam u Bronka dwa lata a jak Niemcy przyszli zamieszkaliśmy w domu naszej mamy. Po wojnie Broniek zostaje z rodziną wysiedlony ze Stryja i osiedla się w Gliwicach gdzie pracuje na kolei. Zmarł w Gliwicach i tam jest pochowany na cmentarzu.

Moja Siostra Józia

Moja o sześć lat starsza siostra Józia wyszła za mąż dość młodo. Już we wczesnym wieku przyciągała ogólną uwagę. Na zabawach partnerów do tańca jej nie brakowało a wśród kandydatów do jej ręki mogła przebierać. Los kapryśny sprawił, że wybrała najmniej godnego. Przestróg przed ślubem nie brakowało,

bo nawet jego matka wysłała młodszego syna, by przestrzec mamę przed oddaniem mu swej córki, jako że nie wiele jest wart. Brat Franek odbywał w tym czasie służbę wojskową jednoroczną i po powrocie robił mamie wymówki, że na ślub się zgodziła, gdyż Józia jako niepełnoletnia bez zgody mamy nie mogłaby wyjść za mąż. A Mama pewnie pomna własnych powikłań przedślubnych nie chciała wywierać nacisku na swą córkę, jak to zrobili jej rodzice i czego całe życie nie mogła zapomnieć. Karol zewnątrznie prezentował się doskonale i mógł młodej romantycznie nastrojonej dziewczynie głowę łatwo zawrócić. Był bardzo zdolnym i wziętym mechanikiem, specjalistą w nacierstwie i w kolejnictwie. Zarazem niezły grosz zarabiał. Jako człowiek nie był zły, ale nadzwyczaj słabej woli. Właściwie potrzebował żony o silnym charakterze któraby go krótko trzymała i na marnowanie zarobionego grosza nie zezwoliła. A taka niestety Józia nie była. Jeszcze w domu będąc, gdy jakaś sprzeczka między nami powstała, zawsze Józia wyszła na tym najgorzej. Gdy Mama, wtrącając się mnie karała, ja zaraz rzucałam się na Józję dając jej parę kuksańców. Ona wcale się nie broniła tylko cicho popłakiwała. Nie lubiała się zwierzać a gdy poznała wady Karola, nigdy się nie skarżyła. Własną niedolę oraz jego zachowanie na zewnątrz nie okazywała.

Zamieszkali w Borysławiu. Gdy wojna wybuchła, Karol został powołany do wojska, a Jozia przeniosła się do mamy, do Stryja. W początkach kampanii Karol dostał się do niewoli na wschodnim froncie. W niewoli nie długo zabawił. Przy pomocy podrobionych papierów dostał się do zagłębia naftowego i pracował jako inżynier aż do rewolucji bolszewickiej. Oczywiście co zarobił lekko puścił i do domu wrócił jak wyszedł bez niczego. Zamieszkali u mamy i tam przyszedł na świat Bolek a później Jadzia. Józia w tym czasie poznała Karola dobrze i widząc, że nic nie zmieni jego postępowania, zamknęła się w sobie i w milczeniu znosiła braki, na które ona oraz dzieci były narażone.

Po przeniesieniu się do Dubna, gdzie Karol otrzymał pracę w parowozowni, zapadła po raz trzeci w ciężę. Brak należytej opieki, ogólna depresja oraz niedostateczna pomoc lekarska spowodowały jej i dziecka zgon w grudniu 1928 r. Broniek z Helą byli na pogrzebie a Mama dopiero na wiosnę udała się do Dubna by krzyż i nagrobek postawić oraz kwiaty ze swego ogrodu posadzić. W nocy jeszcze w Dubnie przyśniła się jej Józia ze skargą w słowach> "Obiecała mi Mama kwiaty i nie dała." Ten sen powtórzył się po powrocie do Stryja. W rozmowie z Bronkiem na temat snu i lokacji grobu, okazało się, że Mama na skutek mylnej informacji obsługi cmentarza, krzyż i kwiaty umieściła na innym grobie. W parę dni potem przyszło pismo z zarządu cmentarza potwierdzające omyłkę.

Nie powiem, że byliśmy bliskie sobie, choć siostry. Zbyt wielka różnica wieku do czasu jej zamążpójścia oraz za duża różnica naszych charakterów nie sprzyjały poufałości i zwierzeniom. Jej wczesne zamążpójście i niezbyt szczęśliwe pożycie wpłynęły bezprzecnie na mnie, gdyż się nie spieszyłam z wyjściem za mąż i decyzję powzięłam w znacznie dojrzałym wieku.

Mój Brat Kazik

Nie mniejszym zapalencem był czwarty według wieku z naszej paczki brat Kazik. Skończył on 6 klas gimn. a następnie wstąpił do szkoły technicznej w Borysławiu i po odbyciu 2-letniego kursu wraz z paktką, otrzymał stanowisko kierownika szybko w jednej z firm. Na tym stanowisku zastała go wojna. Zawód był dobrze opłacany, a ponadto można było liczyć na reklamację i zwolnienie ze służby wojskowej. Ze wszystkich tych dobrodziejstw i przywilei zrezygnował brat Kazik, by spiesznie dołączyć do oddziału Związku Strzeleckiego, zdążającego na zbiórkę w Krakowie. Nie pomogły namowy i zaklęcia mamy, by miał wzgląd na młodsze rodzeństwo, podczas gdy dwaj starsi bracia już byli powołani do szeregów armii austriackiej. Mama nawet użyła najcięższego kalibru argument mówiąc, że przecierz jego przodkowie są pochodzenia niemieckiego, więc on nie ma obowiązku wstępować do Legionów Polskich. Na to brat Kazik powiedział ze łzami w oczach> "Po co mnie Mama wychowała na Polaka." Poszedł z ochotą i z piosenką na ustach. Z jego służby w 1-szej Brygadzie uchowały się dwie kartki pocztowe> 1-sza z dnia 8.8.1914 z Krzeszowic (przedmieście Krakowa) z podobizną Strzelca, 2-ga z widokiem zamku na Pieskowej Skale z zaznaczeniem miejscowości Kielce i adres zwrotny poczty polowej wojsk polskich> I batalion, II kompania, II pluton. Obie kartki były adresowane do mamy i były pełne uczucia. Na tych kartkach korespondencja się skończyła, gdyż Rosjanie zajęli Wschodnią Małopolskę, a Kazik w miesiąc czy niedługo potem został ranny (przestrzał górnej szczęki) i został odesłany do szpitala a potem zwolniony z Legionów Polskich, jako niezdolny do służby wojskowej. Przez blisko rok był sztucznie dokarmiany a wreszcie w szpitalu austriackim dorobiono mu sztuczną część szczęki i zębów, a po okresie urlopu wypoczynkowego polecono zjawić się przed komisją poborową austriacką.

Usiłowania by się dostać do Borysławia na dawne stanowisko nie powiodły się, gdyż nie miał odpowiedniego poparcia, a stanowiska i posady w Borysławiu zostały zajęte przez krewnych właścicieli i dyrektorów. Także z komendy Legionów do których się zwrócił z prośbą, by go z powrotem powołali,

otrzymał radę, by poszedł do armii austryjckiej do ciężkiej artylerji, gdyż wyszkolony w tej broni może się przydać Polsce w przyszłości.

Posłuchał i po niedługim przeszkoleniu dostał przydział na włoski front. I tam też jemu się nie poszczęściło. Dnia 16.VI.1916 w czasie burzy, będąc na postrunku przy działach, został rażony piorunem z dwoma innym żołnierzami. Jednego tylko odratowano jako częściowo porażonego. Kazika i drugiego żołnierza nie dało się odratować. Nie było to możliwe, gdyż stanowiska były wysoko w górach, podłoże skaliste i brak gleby ziemistej uniezliwiał wszelkie próby ratunku. Koledzy Polacy z oddziału i sąsiednich broni sprawili mu porzeb na cmentarzu okolicznej wsi u stóp góry Monte Santos, na której grzbiecie zginął. Na nagrobku umieszczono orzełka strzeleckiego, z którym się nigdy nie rozstawał. Wiadomość o jego śmierci nadeszła pismem urzędowym kilka tygodni później, wraz z notatką od Polaków o pogrzebie i lokacji grobu.

Już niedługo będzie 60 lat, gdy widziałam go ruszającego na wojenkę. I nawet po tylu latach staje mi w piamięci sylwetka nizkiego brunecika z wyraźnie uformowanym wąsikiem i baczkami. Było to źródłem zazdrości u dwóch starszych braci, którzy zarostu doczekali się znacznie później. Z tego oczywiście brat Kazik nie omieszkiał skorzystać, szydząc z obu "że winni chodzić dla niego po tabakę". Ponadto zdawało mu się, że ma wielkie powodzenie u panienek. Toteż kochał się na zabój, ale stałości w uczuciach nie zdradzał i często zmieniał objekty adoracji. Także w poglądach na życie nie zdradzał ambicji i planów nie robił, a raz nawet Mamie żartem zaproponował, by sprzedawszy dom przekazała mu jego część, by raz mógł się dobrze zabawić. Widocznie przeczuwał, że niedługo zabawi pomiędzy żyjącymi. Ostatni jego pobyt w domu przed ruszeniem na włoski front nie wiele zapisał w mej pamięci lecz musiał pobudzić u niego więcej uczucia braterskiego i sympatii dla młodszej siostry i wzajemnie u mnie wzmogło miłość siostrzana, gdyż w nocy dnia jego śmierci ukazał mi się we śnie i zwrócił się do mnie ze słowami> "Umarłem a jeszcze żyję." Czy to miało dotyczyć się tylko jego śmierci fizycznej przez porażenie, czy też oznaczało, że mimo jego śmierci wiara jego w odzyskanie niepodległości nadal żyje i chce mi ją przekazać.

Mój Brat Gienek

Brat Gienek nie urodził się pod szczęśliwą gwiazdą. Wrecz przeciwnie, okoliczności towarzyszące jego urodzeniu sprawiły, że jego prezność rozwojowa została przyhamowana a odporność na wszelkie choroby w wysokim stopniu osłabiona. W miesiąc po jego urodzeniu wybuchła w Stryju i okolicy epidemia tyfusu. Szpitale były przepełnione, domy jeden po drugim zamieniały się na szpitale, lekarze byli przepracowani, środków medycznych brakowało. I na nasz dom przyszła kolej, gdy wszyscy wraz z Mamą ulegli epidemii. Zwątpiono w utrzymaniu przy życiu noworodka, a lekarz nawet polecił, by Mama nadal karmiła go piersią w nadziei że tym sposobem przynajmniej matkę da się uratować. Karmienie nie trwało długo, gdyż zaledwie Mama przyszła do siebie i uzmysłowiła sobie rolę jaką noworodkowi przeznaczył lekarz, przerwała karmienie i wzięła dziecko pod swą opiekę. Oboje wyszli cało, lecz rozwój dziecka był powolny, zdrowie dziecka delikatne i jak gąbka wchłaniające choroby i różnego rodzaju przypadłości. Pomyślnie przebył szkołę oraz przygotowanie do pracy.

Po wybuchu wojny 1914 r. stawał do poboru kilkakrotnie i zawsze był odrzucony przez komisję austryjcką, jako całkowicie niezdolny. Przyszedł rok 1918, państwa zaborcze upadły pokonane. Brat Gienek wziął czynny udział w oswoobodzeniu Stryja z rąk Ukraińców w szeregach oddziałów P.O.W., a później wraz z młodzieżą stryjską wstąpił do szeregów armii polskiej, pomny nakazu swych starszych braci przed szesciu laty, gdy ruszyli w pole, jeden w mundurze austriackim, drugi jako legionista> "Gdy nas nie stanie, ty masz nas zastąpić, gdy zajdzie potrzeba." Myśleli oczywiście o przyszłym państwie polskim, w którego odrodzenie święcie wierzyli.

Kampanię wojenną nie posłużyła bratu Gienkowi. Jak zwykle zdrowie nie dopisało. Po kilku miesiącach wojowania zapadł na zapalenie płuc z komplikacjami. Na wiadomość o jego chorobie, zrobiłam pamiętną dla mnie wycieczkę na front. Byłam już doświadczoną pracownicą kolei państwowych. Tak władze kolejowe jak i etapowe szły mi na rękę. Podróżowałam pociągiem, parawozem i podwodą, by się dostać do małej miejscowości za Czortkowem, gdzie był rozlokowany szpital polowy. Spędziłam z bratem kilka dni pomagając w jego pielęgnacji i podnosząc go na duchu. Pobyt jego w szpitalu trwał kilka miesięcy. Zwolniony z wojska jako inwalida bez pensji, podejmował się różnych zajęć, z których wywiązywał się ku ogólnemu zadowoleniu i byłby osiągnął wyższe stanowiska, gdyby nie stale słaby stan jego zdrowia. Zakończył swe życie w kwiecie wieku, mając 42 lata, w 1939 roku. On jedyny z naszego rodzeństwa spoczywa na styjskim cmentarzu w towarzystwie rodziców i bratanicy Danki. Jego zgon najwięcej dotknął Mamę powodując osłabienie władz jej organizmu oraz woli życia. Poszła w jego ślady rok później, już na początku wojny, 12-go lutego 1940.

Wypada jeszcze zanotować, że jego towarzysze broni z P.O.W. postawili wniosek, by go pochować na działce zasłużonych. Okazało się jednak, że nie ma żadnego odznaczenia (nigdy się o nie nie ubiegał) i należało wnieść do Warszawy podanie o pośmiertne odznaczenie. By zakończyć niesławne przetargi w starostwie zdecydowałam w porozumieniu z Mamą i bratem Bronkiem pochowanie go obok grobu ojca.-

Moje Dzieciństwo

Urodziłam się w maju 1900 roku, jakby na progu 20-go wieku. Nie mogę powiedzieć, bym miała szczęśliwe dzieciństwo. Ale też nie można się temu dziwić, biorąc pod uwagę mój po urodzeniu wygląd. Wyobraźcie sobie dziecko niemrawe, pokrzywione, włosy rude, rzadkimi kępkami osadzone na głowie, ślepa z trudem otwierające powieki, rączki i nóżki prawie bezwładne. Dobrze że głosem dawałam znać, że żyję, bo inaczej szanse utrzymania mnie przy życiu byłyby nikłe. I tak kobieta Ukrainka asystująca przy porodzie orzekła, że musiałam być zamieniona przez jakąś czarownicę, gdyż wszystkie dzieci, które mama miała uprzednio były ładne i do mnie nie podobne. Radziła by mnie wynieść na rostajne drogi i czekać, aż zostanę zamieniona na właściwe dziecko. Jak widzicie mama moja nie posłuchała tej rady, inaczej trudno myśleć, bym tą próbę żywa wytrzymała. Rodzice chrzestni nie wiele mieli przyjemności niosąc mnie do chrztu. Od siebie nazwali mnie "małą potworą", która to nazwa przyglęła do mnie na kilka lat. Mama także widząc moje wysiłki i cierpienia modliła się, by mnie dobry Pan Bóg zabrał. Bała się o moją przyszłość. Jeżeli ludzie reagowali na mój widok to można zrozumieć, ale zachowanie się psa, którego ojciec trzymał w domu, było zastanawiające. Zazwyczaj spoczywałam w małym łóżeczku-kołysce, gdyż do 3-ech lat nie chodziłam i musiałam być przenoszona na rękach. Pies, o ile nie było nikogo w pobliżu, brał mnie w zęby za powijaki, kładł gdzieś na podłodze a sam się sadowił wygodnie do łóżeczka. Wiedział, że będzie za to ukarany i w końcu po kilku takich wypadkach mama pozbyła się go, co się smutnie dla niego skończyło.

~e z "małej potwory" w ciągu 10-12 lat zmieniałam się na normalnie wyglądającą dziewczynkę zawdzięczam mamie i jej pracy nademną. A więc codzienna kąpiel, masaże i nacierania, specjalne podrzuty, zmuszające do mego instyktownego skurczu mięśni, powodując ich pracę. W lecie sprowadzano piasek do ogrodu, bym mogła brać słoneczne kąpiele w nagrzanym piasku. Oczywiście i dawki codzienne tranu mnie nie ominęły do 10-ego roku życia pomimo wstępu i niechęci jakie okazywałam przy spożyciu. Chwile te często osładzał mnie mój ojciec, póki żył, przynosząc słodczyce, gdy wracał z pracy. Raz jednak niechcący zadał mi ranę, która długo się goiła. Pewnego razu w nocy zabolął mnie brzusek i bezwiednie zanieczyściłam świeżo powleczone łóżka i pierzyny, a że we śnie zwykłam wędrować do innych łóżek, więc gdy mama obudziła się i zaświeciła lampę, zobaczyła co się stało, chwyciła mnie i dała parę klapsów. Na mój krzyk (głosu mi nigdy nie brakowało) obudził się ojciec i widząc co się dzieje, krzyknął na mamę> co robisz dziecku ty macochu. Słowo "macocha" utkwiło we mnie jak zadzióra, a ponieważ nie użaliłam się nikomu, upłynął spory kawał czasu zanim zrozumiałam, że to było tylko przezwisko, rzucone w podnieceniu przez ojca. Największe obawy budził stan mych oczu. Lekarz oprócz różnych leków, zdecydował się na ryzykowny lecz nie sprawdzony jeszcze zabieg, który się powiódł i mój wzrok znacznie się poprawił. Jednakże dotychczas prawe oko jest dużo słabsze i ma tendencje zmrużania, co gdy byłam już dorosłą panną powodowało różne nieporozumienia. Niktórym się zdawało, że ich zaczepiam a mojemu wyjaśnieniu nie bardzo dawali wiary a może niechcieli. Niektórzy złośliwi twierdzili, że memu "felernemu" oku zawdzięczam powodzenie w towarzystwie męskim. Na wskutek uratowania mego wzroku, widok ślepych ludzi budzi we mnie szczególne uczucia litości i życzliwości. Gdy spotykam ich na swojej drodze stukających o brzeg chodnika staram się im pomóc w przekroczeniu drogi a czasem odprowadzam ich pod ich dom. Składki na pomoc dla oślepych zawsze znajdują we mnie orędowniczkę, jak również zakład dla ociemniałych we Wronkach pod Warszawą.